



Wojciech Kossak
Opowieść biograficzna

MAJA I JAN ŁOZIŃSCY



Wojciech Kossak
Opowieść biograficzna
MAJA I JAN ŁOZIŃSCY

Copyright © by Wydawnictwo Naukowe PWN, 2016
Grupa PWN
ul. Gottlieba Daimlera 2
02-460 Warszawa
tel. 22 695 45 55
www.pwn.pl

Copyright © for the text by Maja i Jan Łozińscy, 2016

Wydanie pierwsze

Wydawca: Marcin Kicki
Współpraca: Katarzyna Kucharczuk
Redakcja: Magdalena Kędzierska-Zaporowska
Korekta: Zofia Kozik, Agnieszka Więckowska
Layout, skład i łamanie: Ewa Modlińska
Projekt okładki: Katarzyna Ewa Legendź
Zdjęcie na okładce: Narodowe Archiwum Cyfrowe (Wojciech Kossak
w swojej krakowskiej pracowni, 1926 rok)
Produkcja: Mariola Iwona Keppel

Informacje w sprawie współpracy reklamowej: reklama@pwn.pl

Druk i oprawa: Białostockie Zakłady Graficzne SA
ISBN 978-83-01-18572-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Niniejsza publikacja ani jej żadna część nie może być kopiowana, zwielokrotniana i rozpowszechniana w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

prawolubni Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując jej część, rób to jedynie na użytek osobisty. Szanujmy cudzą własność i prawo. Więcej na www.legalnakultura.pl
Polska Izba Książki

*W każdym razie nie ma chyba dziś nikogo inteligentnego,
co by nie wiedział qui est Caussaque.*

Wojciech Kossak w liście do żony, Paryż, 1 maja 1924 roku

R o z d z i a ł I I

MIŁOŚĆ

Na początku 1883 roku Wojciech wraca do rodzinnego domu, do Kossakówki. Jego myśli zaprzęta już nie tylko malarstwo, ale także... małżeństwo! Dwudziestosześcioletni artysta poprosił o rękę Marię Kisielnicką, córkę właściciela majątku ziemskiego Stawiski w Łomżyńskim. I został przyjęty. Panna, młodsza od narzeczonego o cztery lata, była drobną blondynką o dziecinniej twarzy, pulchnych policzkach i bardzo jasnej cerze. Na zachowanych fotografiach widać, że Wojciech przerastał ją o dobre pół głowy. Trudno dziś uznać ją za szczególną piękność, ale zakochany Kossak dwa tygodnie przed ślubem pisał czule: „aniołku mój śliczny, żono moja bialutka, ananasiku mój, bubciu najmilsza. Całuję z całej duszy, z całego serca usteczka Twoje rozkoszne, oczka, nosek, uszka, rączki i nóżki i każdy paluszek bez pończoszki”. Rok wcześniej, na początku narzeczeństwa, nie odważyłby się na takie poufałości. Jak przystało na panienkę z dobrej ziemiańskiej rodziny, Maria była dość pruderyjna, choć przecież nie nieczuła na zaloty przystojnego i pełnego temperamentu malarza. Tuż

przed ślubem Wojciech przypominał jej ekscytujące, a jakże niewinne momenty bliskości, których doświadczali na początku znajomości: „nigdy w życiu nie byłem tak szczęśliwy, jak wtenczas w Rzymskim Hotelu, kiedy mi dałaś Twoją rączkę najłodszą pocałować, że w Korzenistem aż mi się słabo zrobiło wtenczas, pamiętasz? (a może nie?), nie mówiąc o wielu, wielu innych chwilach, jak nasze posiedzenia przy portrecie [Maria pozowała mu do portretu], zapamiętała lektura na kanapce albo nasz spacer konno, bajeczny!”. W pierwszym liście, który posłał do Stawisk, o swoich uczuciach starał się pisać ostrożnie, tak by nie spłoszyć młodziutkiej narzeczonej: „Wiesz dobrze Pani, [...] że Cię kocham najszlachetniejszym uczuciem, jakie człowiek na ziemi w swym sercu żywić może, i że straty Ciebie, zdaje mi się, pomimo że kocham sztukę i rodzinę, przeżyć bym nie potrafił, że pomimo tych dwóch ognisk, przy których się ogrzać mogę, smutno mi i ciemno na świecie bez Ciebie, aniołku mój o jasnej duszy i jasnej główce. Zmieniam temat, uspokój się Pani [...] – zaczynam wkraczać w zakres przymiotników, których Pani nie lubisz, a dużo ich w bajecznym życiu ode mnie usłyszysz”.

Zakochany Wojciech kiedy tylko mógł, odwiedzał Marię w Stawiskach. Ponad pięćset kilometrów, które dzieliły narzeczonych, pokonywał wytrwale koleją i końmi pocztowymi. A z Krakowa niemal codziennie słał długie listy pełne miłosnych wyznań, ale też wyrzutów, jeśli narzeczona zwlekała z odpowiedzią. „Maryś, zmiłuj się, pisz często, bo mnie desperacja ogarnia, a ja okropnie jestem niewytrzymała, niestety, na wszelką przykrość, nic a nic we mnie filozofii, może dlatego że nigdy nie byłem nieszczęśliwym, dzięki Bogu. Pisz więc, najdroższa, porzuć pruderię, powago moja, widzisz jak Twój narzeczony bez sensu, ładu i składu smaruje list po liście, ani pyta” – prosił Marię. Innym razem narzekał: „Jaka Pani nie-

*Wojciech Kossak,
portret żony
Marii z Kisielnickich
wykonany w 1884 roku*



dobra, tak mi żałować wiadomości o sobie, a tak Panią prosiłem, na serio to niedobrze. Ja nie mogę w tych warunkach mieć swobodnego umysłu, od czwartku do dziś dnia nic i nic, niech Pani mi wierzy, że to nie jest fantazja żadna, ale mi bardzo ciężko na sercu, jak tygodniami całymi nie mam listu od Pani”. Nie krył, że z niecierpliwością wypatruje poczty, a nawet przesłał Marii zabawny rysunek, na którym ściska serdecznie listonosza trzymającego w rękę długo oczekiwany list.

Podobnymi obrazkami i szkicami Wojciech ilustrował opisywane narzeczonej wydarzenia. List z 16 lutego 1884 roku jest pod tym względem szczególny. Kilka kolorowych akwarelek wplecionych w tekst przedstawia scenki z balu w pałacu Po-

tockich Pod Baranami, w którym uczestniczył młody Kossak. Zaproszenie do Adamowej Potockiej uchodziło w Krakowie za zaszczyt zarezerwowany dla śmietanki towarzyskiej miasta, a mimo to Wojciech pisał o balu i jej gospodyni w tonie niepozbawionym złośliwości i lekceważenia. „W brzydki dzień zimowy, pomimo błota i deszczu, od rana można było spostrzec ruch niezwykajny w Krakusowym grodzie. Grupy gapiów od wieczora stały przed wielką bramą pałacu Potockich, opowiadając sobie, że dziś u Hrabiów (wielkie słowo w Krakowie) okrutny będzie bal, aż samych kotletów cielęcych kazano 510 zrobić” – donosił narzeczonej. A potem opowiadał, jak to przyszło mu ukrywać się przed mocno nim zainteresowanymi paniami, którym wcale nie przeszkadzał fakt, że jest zaręczony. „«Panie, tyle panienek siedzi (ładne mi panienki, kloce na trzy metry), pan naręczony, to prawda, ale choć trochę potańcować proszę» – zagadnęła gospodyni, pani Potocka. Po kolacji jednak «uciekł i zmylił pogonie». Tylko marsowe spojrzenia antenatów zdawały mu się mówić: «Panie bracie, dwieście lat temu byłbyś dał na sejmie kreskę Potockiemu, aby być u niego na kolacji». On jednak myślał o fioletowych oczkach cudownych swej narzeczonej ubóstwianej i o niej marząc, zasnął. Taka jest historia o balu Pod Baranami – i ja tam byłem, jadłem i piłem, i bardzo godnie się wynudziłem” – uspokajał Marię, broniąc się zawczasu przed możliwymi zarzutami. Obawiał się zapewne, że nawet do dalekich Stawisk mogą dotrzeć plotki, od których huczało w całym Krakowie. Opowiadano o skandalicznym zachowaniu młodego Kossaka, który w balowych garderobach czynił niestosowne awanse paniom z arystokracji. Czy oskarżenia były zasadne, czy już wówczas wiedziało o szczególnej słabości Wojciecha do pięknych kobiet? Nie wiadomo, ale faktem jest, że już więcej Pod Barany go nie zapraszano.



*Wojciech Kossak z żoną Marią z Kisielnickich,
fotografował Walery Rzewuski, Kraków, 1885 rok.
Poniżej zdjęcie córki Marii Paulikowskiej-Jasnorzewskiej*

Mimo wszystko Maria nie miała powodów, by wątpić w miłość narzeczonego. Długie listy, które wysyłał niemal co dzień, pełne były egzaltowanych wyznań, zapewnień o ogromnym uczuciu i słów świadczących o tym, że panna Kisielnicka zdawała mu się niemal bóstwem, którego nie był godny. „Gdy Panią poznałem, nigdy bym nie był przypuścił, że się mej narzeczonej spodobam, i co prawda to mnie po trochu dziwi. Ja i Pani to taka różnica, że będę musiał bardzo na siebie uważać i nad sobą pracować, żeby moja najdroższa Pani nie powiedziała sobie kiedyś, dobry to chłopiec ten mój mąż, ale orłem nie jest. Ale Pani nie powinna także zanadto mieć wysokie wyobrażenie o mnie, bardzo proszę, bo jestem tylko zwykłym śmiertelnikiem i mogę nie dorównać opinii mojej Pani najdroższej, a byłoby mi to okropnie przykre. Ale nie trzeba tego przypuszczać – prawda? Będzie nam strasznie dobrze, nie będzie moja Pani najdroższa mieć, mam nadzieję, żadnych deziluzji, a co do moich wad to będę się starał *soigner un peu plus ma toilette, et d’avoir mon mouchoir de poche* [franc. dbać więcej o swoją toaletę i mieć chustkę do nosa]. I będzie wszystko bajecznie” – pisał z Krakowa w końcu 1883 roku. Zaraz potem dodawał rozbijając: „Ja nie wiem, czy Pani pisałem już o tym, że Panią tak z całej duszy i z całego serca kocham, że, że na myśl, że będziemy razem, robi mi się tak bajecznie na sercu, że mi się wszystko kręci, i *Somosierra*, i sztalugi, i tę trochę mózdzku, co mam”.

Po ślubie młodzi mieli zamieszkać w Kossakówce (jeszcze wtedy nazywanej Wygodą), którą Juliuszowie zamierzali im odsprzedać. Ostatecznie postanowiono, że Wojciech z Marią przejmą główny dom, rodzice przeniosą się do oficyny prawej (nazywanej później Domem Babci), a w lewej pomieści się obszerna pracownia malarska. W przygotowanie nowego



Kossakówka, Kraków, 1936 rok

lokum dla syna i synowej od początku bardzo zaangażowała się Zofia Kossakowa. Już na początku lutego 1884 roku Wojciech donosił Marii: „Mama [...] ciągle ze mną rozprawia, że tu damy obicie takie, kuchnia się inna wybuduje, a z tej zrobi się *cabinet de toilette*, tu będzie *obite toile d’Alsace*, a tu drzwi zakryte, piec się przestawi tam, a w salonie da się kominek. Bajeczna kobieta, pocziwa Musia, bierze na siebie zająć się wszystkim, mamy wybrać tylko rodzaj mebli i z próbek obicie, a i plan pracowni potwierdzić, a Mama się poświęca, żeby sama dowodzić i komenderować przebudowaniem, odświeżaniem, obiciem, umeblowaniem, etc., etc.”.

Pięćdziesięcioletnia Zofia, pomimo złego samopoczucia („Mama zdenerwowana – pisał Wojciech – popłakuje sobie od czasu do czasu o najmniejszą rzecz”) zajęła się nie tylko urządzaniem wygodnego domu dla przyszłej synowej. My-



Portret matki Wojciecha, Zofii Kossakowej z domu Galczyńskiej, około 1870 roku

ślała także o tym, jak przygotować Wojciecha do roli troskliwego męża. „Jak ona mi mądrze radzi, [...] jak tylko myśli o tym, żeby Pani było dobrze, wie z własnego doświadczenia, co jej brakowało do szczęścia i co ją raziło w codziennych stosunkach nawet z tak zacnym mężem jak mój Ojciec, a to tylko dlatego że mój Ojciec nie miał rozumnej matki albo siostry przy sobie, która by mu to była powiedziała. Jakie ja co dzień wykłady słyszę od Musi, jak powinienem się względem mojej najukochańszej żony zachowywać, a nie są to żadne górnomądre frazesa, ale zdania i rady dotyczące się bardzo poziomych kwestii. O, to barż mądra kobieta i chyba jedna z najlepszych matek!” – nie krył wdzięczności Wojciech.

Z pewnością ważną kwestią była stabilizacja finansowa nowej rodziny. W tych sprawach Juliusz nie mógł być wzorem dla syna, nie umiał zabiegać o pieniądze, swoje rysunki i akwarele sprzedawał zwykle poniżej ich prawdziwej wartości. Razem z Zofią nieustannie zamartwiał się o niespłacone pożyczki i weksle. W latach paryskich Kossakowie prowadzili otwarty dom i nie odmawiali wsparcia rodakom, którzy znaleźli się w trudnej sytuacji. Wojciech uważał, że ojciec, „ten złoty Julek”, jak powszechnie mówiono, był zbyt naiwny i altruistyczny i że cierpiała na tym jego rodzina. „Niech mnie Pan Bóg broni od żalu jakiegokolwiek do niego, najzacniejszego Ojca, jest on po prostu za dobry i za łatwowierny, a jeżeli Ci to, Panno Mario, piszę, to tylko dlatego, żebyś mnie nie miała za egoistę, gdy nie będę takim jak mój Ojciec, bo trzeba pod tym względem tylko rozróżniać dobre uczynki od potrzebnych a zbytecznych zupełnie” – tłumaczył narzeczonej i zapewniał: „Będziemy sobie żyć bardzo wygodnie i prawie żadnych przyjemności nie będziemy potrzebowali sobie odmawiać, ale nie będziemy się bawić w dom otwarty dla kochanych rodaków, gotowych zaraz iść, gdzie się z komina kurzy”.

Ani Maria, ani Wojciech nie chcieli mieć prędko dzieci, tak w każdym razie wynika z ich przedmałżeńskiej korespondencji. Musieli wielokrotnie rozmawiać na ten temat w Stawiskach i wspólnie podjąć decyzję, która nie spodobała się tęskniącej za wnukami Zofii Kossakowej, zwłaszcza że małżeństwo jej córki Zofii Romanowskiej na razie pozostawało bezdzietne. Wojciech mówił wprost o swojej antypatii do małych dzieci, „do tych wszystkich bzi, bzi, pieluszek, śliniaczków etc.”, a także o lęku o Marię w ciąży i w czasie porodu, które w tamtych czasach były niemałym zagrożeniem dla życia i zdrowia kobiety. Spierał się zatem z matką, która przepowiadała mu, jak się miało okazać trafnie, że i tak nie uniknie na dłużej ojcowskich obowiązków i strapień. „Maryś, wiesz, z pewnością nie będziemy mieli dzieci przez kilka lat, wiesz, jak Cię kocham, tak mi Panie Boże dopomóż, a przecie to grzechem nie może być, jeżeli nie chcę Cię narażać, jeżeli mi jesteś droższą od wszystkiego, cóż by w tym mogło być złego?” – starał się rozwiać religijne wątpliwości Marii. Kościół katolicki nauczał przecież, że celem każdego małżeństwa jest wydanie na świat potomstwa. Dla Wojciecha szczęście małżeńskie oznaczało jednak coś całkiem innego. Wyobrażenie przyszłej idylli we dwoje opisał Marii na dwa tygodnie przed ślubem, zaplanowanym na 16 lipca 1884 roku: „Przy otwartym oknie [...] przy zapachu letniej nocy mąż Cię będzie długo pieścić i całować, że jak Ci się nareszcie oczka Twoje najmilsze zaczną kleić, to zamiast zamykać fortepian i dyskretnie mężowi dać czółko do pocałowania, jak to ma miejsce w Stawiskach, mąż Cię weźmie na ręce, zanieś do Twojego pokoju, zdejmie pantofelki, wyciągnie nóżki i każdy paluszek i zapewniwszy się, że żonie ukochanej jest dobrze i ciepło, i wygodnie, pójdzie do swego pokoju, gdzie mu będzie dziwnie dobrze na sercu, jak pomyśli, że tuż obok za

przymkniętymi tylko drzwiami śpi jego żona ukochana, jego szczęście, jego wszystko, co ma na świecie, że nazajutrz rano powiemy sobie przez drzwi dzień dobry, mąż zadysponuje herbatę, a żona cudowna, śliczne moje Marysiątko, ubierze się w szlafroczek i czepeczek, a mąż tymczasem ogoli i ubierze, i równocześnie z herbatą schodzimy się w moim pokoju, mąż z całej duszy przycisnie żonę do serca, za co mu żona należe herbatki, że ona nam będzie często stygnąć, to tam swoją drogą. Potem żona moja ubóstwiana zacznie długo marudzić się z ubraniem, tym więcej pewnie, że mąż, nieznośny bubek, będzie chciał koniecznie grać rolę panny służącej”...

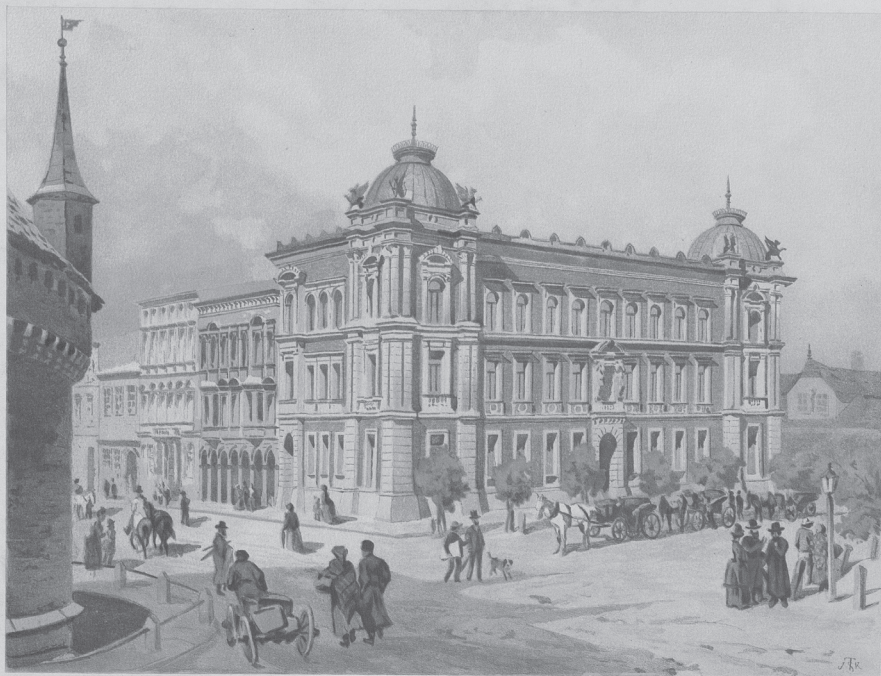
Wojciech nie mógł doczekać się ślubu i pierwszej nocy z ukochaną. „Maryś, ja wariuję na myśl, że będziesz moją, naprawdę!” – pisał 3 lipca. Namiętność i pożądanie nie pozwalały mu rozsądnie myśleć, nie dawały spać. W listach do narzeczonej wyznania miłości stawały się coraz mniej powściągliwe, co zawstydzalo, a zapewne też przerażało, pruderyjną pannę: „Moja droga Pani, zapowiadam, że ledwie przyjadę i nieba łaskawe pozwolą nam z wielką jaką księgą usiąść w spokoju, zacznę dokazywać jak wariat, bo już ...*cri nom d'un chien* [psia kość]!!! no, już koniec, już i cierpliwość moja, i siła panowania nad sobą, wszystko się skończyło! [...] Nie! Żeby mi się, który z tych frazesowiczów o czasach narzeczonych, o tym uroku rozłączenia, o Elwirze wzdychającej za Alkarem, że tulipany i piękne róże ci pokażą mej twarzy etc., etc., żeby mi się który dostał w ręce, dałbym mu ja, dał!”.

Temperament Kossaka studziła jedynie praca, której, o dziwo, nie zaniedbywał. Pracował nawet podczas wizyt w Stawiskach. Narzeczona lubiła patrzeć, jak maluje, albo też cierpliwie pozowała do portretu, ubrana w skromną jasną suknię z wysokim kołnierzem, ozdobioną kwiatem kasztanowca przypiętym na ramieniu. W Stawiskach Wojciech

pracował nad drobnymi zamówieniami, dla Marii ozdobił malunkami wachlarze (na jednym znalazła się scena zaręczyn). Myślał nawet o urządzeniu w stawiskim ogrodzie letniej pracowni – „jakieś budy z desek” – gdzie mógłby malować większe formaty. „Z Warszawy trochę dywanów i portier bym sprowadził i byłoby barż piknie, między parobkami znalazłbym sobie modela, bo na to nie trzeba być bardzo mądrym, najlepszy dowód to mój Józek, okropnie głupi” – zwierzał się Marii.

W Krakowie Wojciech niemal co dzień stawał do sztalug. I niemal co dzień wysyłał ukochanej wiadomości, jak postępuje praca, informował z dumą o sukcesach i nowych zleceniach. „Dostałem dziś zamówienie na 400 fl., aby zrobić podobny obrazek jak ten, co Pani zdaje mi się widziała u mnie – tych jednorocznych ochotników z paniami na manewrach, jakiś okropnie bogaty Niemiec z Karlsbadu” – pisał w czerwcu 1884 roku, miesiąc przed ślubem. Relacjonował podróż do Wiednia, gdzie w Künstlerhausie wystawiono jego obraz *Artyleria w ogniu* i gdzie oglądał z zachwytem panoramę *Bitwa pod Rezonville* uwielbianych mistrzów – Detaille’a i Neuville’a. Wspominał też Marii o rozpoczęciu pracy nad batalistycznym obrazem *Somossiera* – „niech się dzieje, co chce, muszę zrobić coś dobrego”. Pierwszy szkic węglem gotowy był już na początku grudnia 1883 roku, a ukończone płótno dwa lata później zostało wystawione przez Towarzystwo Przyjaciół Sztuk Pięknych w Krakowie, któremu prezesował wówczas książę Marcei Czartoryski.

Wojciech zdawał sobie sprawę, że zadowoli żonę jedynie wówczas, gdy osiągnie sukces artystyczny, zdobędzie sławę i pieniądze. Małżeństwo panny ze skromnego, ale jednak ziemiańskiego rodu z malarzem dla wielu uchodziło za megalians. Sama Maria miewała w tej sprawie wątpliwości i obawy,



GMACH SZKOŁY SZTUK PIĘKNYCH.

Krakowska Szkoła Sztuk Pięknych, litografia z 1886 roku według Juliusza Kossaka

o czym świadczą liczne wzmianki w późniejszej korespondencji Kossaków. Wojciech, nie inaczej niż jego ojciec i dziadek, utrzymywał się wyłącznie z własnej pracy, nie miał majątku, który mógłby zapewnić rodzinie regularne dochody i bezpieczeństwo finansowe. W małżeństwie Juliusza z Zofią z Gałczyńskich również dostrzegano deklamację panny ze dworu, która poślubiła biednego malarza, wierząc mu na słowo, że jest szlachcicem. Juliusza niewiele obchodziły rodowe herby, lecz jego syn długo odczuwał niższość swojego pochodzenia. Zapewne też niekiedy wypominała mu je Maria, skoro jeszcze kilka lat po ślubie sarkała od czasu do czasu, że żona ma go za nic, beszta i lekceważy. „No, moja droga Mańciu, jak jesz-

cze raz mi powiesz, żeś głupstwo zrobiła, wychodząc za mnie, to już chyba Ci dam w skórę” – pisał z Berlina w 1897 roku. Wierzył jednak w swój talent, nie brakowało mu tupetu, pewności siebie, uroku i zapału do malarstwa i mógł szczerze obiecać ubóstwianej narzeczonej: „przysięgam być energicznym, z obrazem Twoim w duszy pracować i zrobić coś szlachetnego jako myśl wykonanie, i kochać każdą myślą, każdym czynem i słowem aż do śmierci”.

Ślub Wojciecha i Marii odbył się 16 lipca 1884 roku w niewielkim kościele pod wezwaniem św. Wojciecha Biskupa Męczennika w Porytem, parafii panny młodej. Na wesele w Stawiskach Kisielnicy zaprosili siedemdziesiąt osób, gości ze strony pana młodego było znacznie mniej – razem z rodzicami i czwórką rodzeństwa zaledwie kilkanaścioro. Wojciechowi nie zależało na hucznych uroczystościach. „Przyznam Ci się, że się nic a nic nie zmartwiłem tym, że tylu miłych krewnych zawiodło – pisał Wojciech. – Tak prawdę powiedziawszy, to mi to jest wszystko tak zupełnie obojętne, że aż wstyd”. W podróż poślubną młodzi wybrali się do Zakopanego, po drodze zatrzymując się na dwa dni w Warszawie, w Hotelu Saskim. Nareszcie byli razem, oboje bardzo szczęśliwi. Maria w liście do babki, Anny Kisielnickiej, zapewniała, że jej „ogromnie dobrze na świecie”. Tylko Wojciech skarżył się żartem „babci drogiej”: „otóż jedna chmura czarna na horyzoncie mego szczęścia zawisła – moja żona kompromituje mnie i siebie w straszliwy sposób: w teatrze, w restauracji tytułuje mnie «panem», czy to nie oburzające?, ja naturalnie nie mogę wtenczas mówić jej «ty», no i śliczna historia, co sobie ludzie pomyślą”.

W Zakopanem Wojciech najpewniej po raz pierwszy zobaczył Marię, więc choćby tylko z tego powodu doskonale nadawało się na miodowy miesiąc. Poza tym urokliwa podta-